

CZAS NA ZMIANY W POLSKIEJ NAUCE

Zbigniew Błocki

PAU, Kraków, 11 maja 2015 r.

Szanowny Panie Prezesie, Szanowni Państwo,

Przede wszystkim bardzo dziękuję za zaproszenie, występowanie przed tak szacownym gronem to dla mnie ogromny zaszczyt, ale i duże wyzwanie. Jeśli Państwo pozwolą, to chciałbym zacząć od pewnego osobistego wspomnienia o tym, jak pierwszy raz spotkałem Pana Profesora Andrzeja Białasa. Wiosną 1989 r. byłem studentem III roku matematyki na Wydziale Matematyki i Fizyki UJ, dość wtedy zaangażowanym politycznie. Ponieważ zbliżały się słynne wybory 4 czerwca, wynegocjowane przy Okrągłym Stole, bardzo zależało mi, by zostać członkiem obwodowej komisji wyborczej z ramienia Solidarności. Do tego potrzebny był list polecający od członka krakowskiego Komitetu Obywatelskiego, z naszego wydziału, obok profesora Białasa, był w nim profesor Andrzej Pelczar. Ponieważ trochę go znałem (tak się zresztą składa, że obaj byliśmy absolwentami V Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku), zwróciłem się o to do niego. On jednak z jakichś powodów nie mógł tego zrobić i poprosił o to prof. Białasa. Nie sądzę, żeby Pan Profesor to pamiętał, ale to właśnie dzięki jego listowi polecającemu zostałem wtedy członkiem komisji wyborczej. Spędziłem tam zresztą całą niedzielę 4 czerwca, a w nocy, do siódmej rano w poniedziałek, liczyliśmy głosy, głównie jak pamiętam tzw. listę krajową. Co ciekawe, byłem przydzielony do komisji, której siedziba znajdowała się w Biprostalu i tak się składa, że po tylu latach, jako niedawno powołany Dyrektor Narodowego Centrum Nauki, właśnie tam chodzę teraz do pracy.

Osobiście sądzę, że okres od 89 r. do dzisiaj to jeden z najlepszych w całej historii Polski, mimo wielu różnych niedociągnięć. Może nie jest to specjalnie doceniane w kraju, ale dużo jeżdżąc za granicę, widzę, że jest to znacznie lepiej widoczne tam niż u nas. Dziś jednak chciałbym skupić się na być może małej, ale z punktu widzenia przyszłości kraju niezwykle istotnej części naszego życia publicznego, która moim zdaniem nam przez te 25 lat specjalnie nie wyszła. Przy okazji chciałbym przeprosić Państwa za wiele być może kontrowersyjnych

dla niektórych sądów, które tu dziś wygłoszę. Proszę również traktować je jako moje prywatne opinie, a nie oficjalne stanowisko NCN. Myślę jednak, że sytuacja zmusza nas byśmy przyjrzeni się stanowi polskiej nauki i powiedzieli sobie pewne rzeczy bez owijania w bawełnę. Szczególnie mobilizuje mnie tu tytuł tego seminarium: *Patriotyzm wczoraj i dziś*. Zachęca mnie również do tego opiniotwórcza rola Polskiej Akademii Umiejętności w ostatnich latach, mam tu szczególnie na myśli tygodnik *PAUza Akademicka*, który jest, mam wrażenie, jednym z nielicznych periodyków w polskiej nauce nie stroniących od prawdziwej dyskusji i kontrowersyjnych tematów.

Bo moja podstawowa teza jest taka, że, w przeciwieństwie do większości innych aspektów naszego życia, w polskiej nauce po 89 r. nie nastąpiły prawie żadne zmiany systemowe, które przybliżyłyby nas do standardów zachodnich. Z jednej strony nie mamy już dziś kartek na mięso, talonów na samochody, cen chleba czy rowerów ustalanych przez państwo, oficjalnych i nieoficjalnych kursów walut. Możemy drukować gazety i książki bez cenzury, paszporty trzymamy w domu itd. Nasze dochody i standard życia stale rosną i zbliżają się do bogatszych krajów, wyraźnie wzrosła również średnia długość życia obywateli. Wydawałoby się, że pozytywne zmiany w gospodarce, wolność słowa i otwarcie Polski na świat powinny były stanowić duży impuls do rozwoju dla polskiej nauki. Mam jednak wrażenie, że tak się nie stało, że zmian było raczej niewiele, a te które były niekoniecznie poszły w dobrym kierunku. I, co najważniejsze, nie przybliżyliśmy się w tym czasie, tak jak nasza gospodarka, do standardów zachodnich, jeśli już, to raczej oddaliliśmy się.

I chodzi nie tylko o miejsca w rankingach, choć one, obawiam się, wbrew różnym zaklęciom, oddają naszą smutną rzeczywistość. Zupełnym blamażem jest np. liczba grantów ERC, które Polska zdobywa. Dość powiedzieć, że w ostatnich edycjach trzech podstawowych konkursów *Starting*, *Consolidator* i *Advanced Grants* nie dostaliśmy żadnego, natomiast, by nie szukać zbyt daleko, Węgry w tych konkursach uzyskały w sumie 9, Czechy 6, a np. Finlandia 16. Przegrywamy zresztą również z takimi krajami jak Turcja, Rumunia, Estonia, Grecja, Cypr, Islandia, Chorwacja... Przy czym analizy dokonywane przez ERC pokazują, że Ci sami, szczególnie młodzi polscy aplikanci statystycznie radzą sobie znacznie lepiej jak wyjadą zagranicę, stają się znacznie bardziej samodzielni i pomysłowi. Przy okazji muszę też z przykrością stwierdzić, że

nawet w naszej lokalnej polskiej konkurencji Kraków wypada tu znacznie gorzej niż Warszawa: w całej historii ERC nigdy nie otrzymaliśmy żadnego grantu, podczas gdy np. Uniwersytet Warszawski zdobył ich w sumie 8.

Ale właściwie chyba nie powinniśmy dziwić się, że tak z kretesem przegrywamy, skoro w Polsce po prostu prawie w ogóle nie prowadzi się przełomowych badań. By postarać się to zobrazować przyjrzyjmy się trzem czołowym czasopismom we współczesnej nauce: *Nature*, *Science* i *Cell*. W wielu dziedzinach, szczególnie w naukach o życiu, publikacja w jednym z nich jako wiodący autor jest praktycznie warunkiem koniecznym starania się o prestiżowe wyróżnienie w rodzaju grantu ERC. Może nam się to nie podobać, możemy to uznawać za niesprawiedliwe (słyszałem nawet, że dwa pierwsze z tych czasopism określane są mianem *tabloidów* naukowych), ale tak po prostu jest i tego nie zmienimy. Trzeba więc tam publikować, by mieć jakiegokolwiek szanse w globalnej konkurencji. I co prawda pojawiają się w tych czasopismach polscy autorzy, ale prawie tylko w drugoplanowych rolach. Np. w ostatnich czterech latach. ukazała się w nich tylko jedna praca z adresem korespondencyjnym w Polsce!

Grantów ERC nie dostajemy, nie publikujemy w najlepszych czasopismach, ale oczywiście nie można powiedzieć, by w tym czasie nic się w polskiej nauce nie działo. Bijemy np. rekordy świata w liczbie uniwersytetów, profesorów czy czasopism naukowych na głowę mieszkańca. Poszliśmy w masowość i całkowitą spontaniczność, bez żadnego centralnego zarządzania nauką, tylko właściwie po co? Oczywiście kilkakrotnie wzrosła liczba studentów, i to był pewnie słuszny kierunek po zmianie systemowej, jednak po co nam aż taka produkcja ilościowa w badaniach naukowych? Po co np. wydziały liczące kilkuset nawet bardzo dobrych naukowców specjalizujących się w jednej dyscyplinie, nie uczące zresztą zbyt wielu studentów? Po co masowe kształcenie na studiach magisterskich i doktoranckich na kierunkach, po których nie można znaleźć pracy?

Z perspektywy czasu widać, że pewne zmiany byłyby w nowej sytuacji naturalne. Czyż nie byłoby takim np. zreformowanie systemu instytutów Polskiej Akademii Nauk, właściwie mającemu swoje korzenie w poprzednim ustroju, i włączenie rzeszy często bardzo dobrych przecież naukowców bez żadnych obowiązków dydaktycznych w struktury uniwersytetów, które właśnie

zaczynały przyjmować niespotykane dotąd liczby studentów? Na marginesie dodam, że jest to główny problem, jaki widzę w dużej liczbie instytutów badawczych w Polsce: uczeni tam pracujący nie mają kontaktu ze studentami i przez to, przynajmniej z punktu widzenia całego państwa, ich potencjał jest w dużej mierze marnowany. Mam zresztą wrażenie, że w ostatnim ćwierćwieczu ministerstwo odpowiedzialne w Polsce za naukę zajmowało się głównie technicznym rozdzielaniem pieniędzy, łatając przy okazji różne dziury i zobowiązania, które często powstały zupełnie przypadkiem. Wydaliśmy np. w ostatnich latach grube miliardy na infrastrukturę naukową, bez żadnego planu, i nie ma teraz za co jej utrzymać. Czy naprawdę ma sens by w Polsce było więcej centrów nanotechnologicznych niż w Niemczech?

Niestety zupełnie nie sprawdziło się moim zdaniem oddanie pełnej autonomii uniwersytetom. Zdaję sobie sprawę, że była to reakcja na różne wynaturzenia z przeszłości, jednak system, w którym władze uczelni czy wydziałów wybierane są w pełni demokratycznie przez profesorów i studentów nie funkcjonuje w żadnym kraju, z doświadczeń którego chcielibyśmy korzystać. Uważam, że im wcześniej z niego zrezygnujemy tym lepiej. Demokracja i nauka po prostu nie idą ze sobą w parze! (Przy czym chciałbym zastrzec, że osobiście jestem zadeklarowanym zwolennikiem demokracji w polityce, nie mam w tym względzie żadnych autorytarnych zapędów.) Zdarza się zresztą, że wybieramy na rektorów czy dziekanów naprawdę sensownych ludzi, ale nawet oni mają bardzo ograniczone pole działania, na prawie wszystko co robią muszą przecież uzyskać akceptację większości. Demokracja w nauce powoduje przesuwanie wymagań w dół, widzimy np. jak łatwo jest teraz zostać profesorem czy doktorem habilitowanym, jak spadają wymagania na te tytuły. Ale czego mamy się spodziewać, skoro decydują o tym w ostateczności koledzy zainteresowanych w demokratycznym głosowaniu! Oczywiście jest jeszcze Centralna Komisja do spraw Stopni i Tytułów, która pewnie w obecnym systemie jest niezbędna (tak jak była nią komisja ds. cen w socjalistycznej gospodarce), ale i tak pełni ona dość iluzoryczną rolę: np. w zeszłym roku na 1039 wniosków o tytuł profesora wydała tylko 39 odmów, współczynnik sukcesu to więc ponad 96%!

Jedną z zasad wprowadzonych ustawowo po 89 r. jest wymaganie by wszystkie stanowiska naukowe obsadzone były na zasadzie konkursów. I jak poradziło z

tym sobie środowisko? Oczywiście wszyscy wiemy, że zdecydowana większość z nich to kompletna fikcja, wygrywa z góry ustalony, jedyny kandydat. Ciekawe co byśmy powiedzieli, gdyby taka była powszechna praktyka przy przetargach publicznych? Kolejnym, związanym z tym problemem jest mobilność. Osobiście nie uważam, że jest to fetysz, doświadczenia innych krajów jasno pokazują, że wprowadza ona dodatkową jakość i zdecydowanie stymuluje badania na wyższym poziomie, a tzw. chów wsobny powoduje wiele negatywnych zjawisk. Zdaję sobie sprawę, że wprowadzenie pełnej mobilności w polskich warunkach nie jest łatwe, że wchodzi tu w grę różne uwarunkowania społeczne i kulturowe, i że rzeczywiście byłoby to trudne powiedzmy 20 lat temu. Ale dziś, gdy setki tysięcy Polaków są w stanie praktycznie z dnia na dzień przenieść się za granicę, chyba nie może to już być poważnym argumentem. Zdaję sobie sprawę, że czegoś takiego jak mobilność raczej nie rozwiążemy oddolnie, do tego niezbędne są moim zdaniem regulacje ustawowe. Niestety, to właśnie nasi demokratycznie wybrani rektorzy kilka lat temu skutecznie zablokowali rozwiązania idące w tym kierunku.

Kolejnym elementem ciągnącym w dół polską naukę jest cały system awansów. Powszechny jest model od studenta do profesora na tym samym wydziale, sam jestem zresztą tego przykładem. Najgorszy jest jednak prawie całkowity brak elementu konkurencji w całym systemie, zupełnie przeciwnie do krajów zachodnich, gdzie, szczególnie na poziomie tzw. *tenure-track*, jest ona niezwykle ostra. A w Polsce oprócz pseudo-konkursów na stanowiska mamy rozdęty do niemożności system stopni i tytułów, z habilitacją i pełnym światowym ewenementem, czyli profesurą belwederską. Zabawne jest zresztą, gdy zagraniczni koledzy odwiedzający Kraków pytają mnie czasami dlaczego niektórzy u nas literki *prof.* mają wypisane przed, a niektórzy po nazwisku...

Ale z drugiej strony to chyba w sumie nie jest śmieszne. Moim zdaniem, to właśnie ten model kariery jest głównym powodem katastrofy z ERC, dlatego nie publikujemy w *Nature* czy *Science*. Młody człowiek rozpoczynający karierę naukową doskonale wie, że zabieranie się za ambitne rzeczy jest ryzykowne, znacznie lepiej zbierać nasze punkciki, sumować *impact factory*, a jak przekroczy się odpowiedni poziom, to cała kariera stoi przed nami otworem. Próbuje zresztą ciągle ten system awansów jakoś łątać i usprawniać, ale tak jak się nie dało zreformować socjalizmu tak, by gospodarka zaczęła jakoś

działać, tak i teraz jest to moim zdaniem skazanie na niepowodzenie. Te próby przypominają mi zresztą trochę kierowcę, który przyjeżdża do warsztatu i prosi o naprawienie klaksonu, bo właśnie przestały mu działać hamulce.

Z mojego punktu widzenia właściwie jedyną pozytywną zmianą jakościową w polskiej nauce w ostatnim ćwierćwieczu było wprowadzenie systemu grantowego, najpierw poprzez utworzenie Komitetu Badań Naukowych w 1992 r., później zresztą z niezrozumiałych dla mnie powodów *zreformowanego* i wcielonego do ministerstwa, a wreszcie przez powołanie Narodowego Centrum Nauki z siedzibą w Krakowie w 2011 r. Osobiście uważam, że jest to praktycznie jedyny element publicznego finansowania nauki w Polsce oparty na prawdziwie konkurencyjnych zasadach, w możliwie najbardziej transparentny sposób i przy wykorzystaniu zachodnich standardów. Zarówno ustawa o NCN jak i wprowadzony tam system grantowy zostały wzorowane na ERC. Mogę zresztą wspomnieć, że w zeszłym miesiącu na spotkaniu Science Europe w Wiedniu w czasie dyskusji panelowej, w której wziąłem udział wspólnie m.in. z prof. Helgą Nowotny, była prezydent ERC, po mojej prezentacji o NCN sama publicznie przyznała ona, jak ogromnie była zaskoczona tak słabymi wynikami Polski od początku powstania ERC, oraz o satysfakcji, że powstała w naszym kraju agencja, która na te problemy stara się znaleźć rozwiązanie.

Zdecydowanie najważniejszym ciałem NCN jest jego Rada składająca się z 24 czynnych naukowców, proponowanych przez jednostki naukowe, wybieranych przez pięcioosobowy Komitet Identyfikujący i powoływanych przez Ministra. Wszystkie najważniejsze decyzje, takie jak podział na panele, ustalenie zasad konkursów, przydzielanie na nie funduszy, a także powoływanie Zespołów Ekspertów, leżą w kompetencji Rady. Dzięki tej konstrukcji decydujący głos mają czynni naukowcy, a nie urzędnicy, jak to było wcześniej. Z własnego doświadczenia w pracy w tym ciele mogę stwierdzić, że udało się zebrać grupę ludzi, którzy z jednej strony mają naprawdę duży dorobek, doświadczenie, ale też przekonanie, że niezbędne jest w Polsce wprowadzanie mechanizmów, które sprawdziły się gdzie indziej. Było to szczególnie istotne na samym początku funkcjonowania NCN, wtedy większość najważniejszych decyzji została podjęta.

Wydaje mi się, że przez te kilka lat NCN osiągnął duży sukces. Z prawie 50 tys. złożonych wniosków prawie 9 tys., na kwotę prawie 3,5 mld złotych, zostało

zakwalifikowanych do finansowania. Trzeba zaznaczyć, że dzięki sprawnej pracy Centrum oraz dobrej współpracy z grantobiorcami, co roku wykorzystujemy praktycznie całą dotację celową, która jest przeznaczona na finansowanie projektów badawczych. Idzie na to ponad 95% naszego budżetu, który w tym roku wynosi 915 mln zł. Z pozostałych wydatków tylko niecałe 1% (7,5 mln zł) idzie na płace pracowników, natomiast ponad dwukrotnie więcej, czyli prawie 2% (17 mln zł) na koszty ekspertów. Zdajemy sobie sprawę, że nasz dwustopniowy system ewaluacji, w którym wykorzystujemy zarówno polskich panelistów jak i recenzentów zewnętrznych (przy czym staramy się, by pochodzili oni głównie z zagranicy), jest dość drogi. Uważamy jednak, że jest to niezbędne by wyłonić naprawdę najlepszych w ostrej przecież konkurencji. Nasza ocena jest oparta na zasadzie *peer-review*, wskaźniki bibliometryczne pełnią w niej pewną rolę, ale z zasady tylko pomocniczą. Choć muszę przyznać, że eksperci w niektórych dziedzinach bardzo są do nich przywiązani i czasami trudno im się od pewnych nawyków odzwyczaić. Ale najważniejszą zasadą jest, by ostateczne decyzje podejmowane były przez kilkunastoosobowe panele w wyniku otwartej dyskusji.

Na pewno dużą zasługę w utworzeniu NCN ma była minister Barbara Kudrycka. Trzeba też dodać, że za tą decyzją poszły dodatkowe środki, w szybkim czasie wydatki na granty wzrosły o prawie 300 mln zł: np. w 2009 r. ministerstwo wydało na to w sumie 562 mln zł, natomiast NCN w 2012 r. już 858 mln zł. Niestety od kilku lat kwota ta stanęła praktycznie w miejscu, w tym roku wyniesie ona 871 mln. W dodatku wszystko wskazuje obecnie na to, że mimo wcześniejszych obietnic NCN nie otrzyma żadnych środków z funduszy strukturalnych, podczas gdy np. NCBR dostanie ich prawie 5 mld euro. Przy czym, jak wszyscy wiemy, NCBR dofinansowuje tak naprawdę głównie przemysł, a w nieporównanie mniejszym stopniu naukę. Właściwie doszliśmy do sytuacji, w której zamiast przemysł finansować naukę, w istocie to nauka finansuje przemysł.

W ogóle trzeba podkreślić, że nauki podstawowe są w Polsce traktowane po macoszemu. A przecież z założenia mogą one liczyć tylko na środki publiczne i to chyba właśnie nauka nienastawiona na konkretne zastosowania powinna być absolutnym priorytetem państwa w tej dziedzinie. Osobiście uważam, że finansowanie budżetowe nauk aplikacyjnych jest ryzykowne i tak naprawdę,

jeżeli rzeczywiście nadają się one do zastosowania w praktyce, powinny być utrzymywane przez biznes. To nauki podstawowe powinny być jednym z filarów budżetu państwa, obok wydatków na edukację, obronność czy infrastrukturę. To moim zdaniem najlepsza inwestycja w przyszłość, powinniśmy tu zresztą brać przykład z takich krajów jak USA, Japonia, Korea, Chiny czy Szwajcaria, choć niestety chyba nie do końca z innych krajów Unii Europejskiej.

Jeśli mówimy o NCN, to uważam, że staliśmy się trochę ofiarami własnego sukcesu. Stale rośnie liczba wniosków o finansowanie, znacząco wyższe są też średnie kwoty, o które aplikują naukowcy. W efekcie znacząco spadł współczynnik sukcesu, z ok. 25% początkowo do ok. 15% w zeszłym roku. W ostatnim konkursie postanowiliśmy go podnieść do około 20%, jednak nasze symulacje pokazują, że gdybyśmy chcieli utrzymać to w przyszłości, to roczna dotacja celowa na NCN powinna wzrosnąć o ok. 120 mln zł, czyli o niecałe 14%. Przy czym trzeba zaznaczyć, że Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego chwali się, że wydatki na naukę wzrosły w tym roku o ok. 10%, podczas gdy w przypadku NCN ten wzrost wyniósł tylko 3%. Naprawdę czas więc chyba na istotne zmiany w tym zakresie. Liczę tu zresztą na wsparcie wszystkich, którym na sercu leży dobro polskiej nauki, w tym oczywiście również Państwa. W nauce infrastruktura jest oczywiście ważna, ale najważniejsi są ludzie prowadzący badania, a o tym się w Polsce często zapomina. NCN jest właściwie jedyną publiczną instytucją, której celem jest właśnie bezpośrednio finansowanie ludzi nauki.

W obliczu spadającego współczynnika sukcesu jednym z desperackich kroków, na które zdecydowała się Rada NCN było obniżenie progu kosztów pośrednich z 30% na 20%. Spotkało się to z całkowicie zrozumiałym sprzeciwem ze strony uniwersytetów i instytutów badawczych. Osobiście też uważam, że stało się bardzo niedobrze, choć ruch ten w tych okolicznościach był właściwie nieunikniony. Mogę jednak zadeklarować, że jeżeli nastąpi wyraźne zwiększenie finansowania, to od razu wrócimy do poziomu 30%. A w ogóle, to dlaczego w ten sposób nie moglibyśmy nawet rozdzielać przynajmniej części środków na działalność statutową, przy oczywiście jeszcze bardziej zwiększonym koszcie pośrednim? Finansowalibyśmy w ten sposób jednostki, w których naprawdę robi się wartościowe badania, a przy okazji być może zachęciłibyśmy je, by zatrudniały przede wszystkim naukowców będących w stanie takie projekty

badawcze zdobywać. Pragnę zwrócić przy okazji uwagę, że na wielu zachodnich uniwersytetach wcześniejsze zdobycie minimum kilkuset tysięcy euro w dotychczasowych grantach jest warunkiem koniecznym do awansu na stanowisko profesorskie.

Jedną z ważnych zmian, które wprowadził NCN jest wymóg składania wniosków po angielsku. Zdaję sobie sprawę, że spotkało się to z pewną krytyką części środowiska w naukach humanistycznych i wiele z tych zastrzeżeń rozumiem. Z tego wymogu jednak nie możemy zrezygnować, gdyż możliwość wysyłania wniosków do zaopiniowania przez recenzentów zagranicznych uznajemy za niezbędną do skonfrontowania nauki uprawianej w Polsce z międzynarodowymi standardami. Chciałbym przy okazji dodać, że nasz pierwszy bilateralny program międzynarodowy, realizowany wspólnie z niemiecką DFG konkurs Beethoven, jest obecnie ograniczony do obszaru nauk humanistycznych i społecznych, choć nie wykluczamy rozszerzania go w przyszłości na inne obszary.

Wracając do głównego tematu wykładu, nasuwa się pytanie co i jak zmieniać? Najważniejsza jest konstatacja, że nie trzeba wymyślać prochu, proponowane rozwiązania z powodzeniem funkcjonują w innych krajach. Oczywiście niezbędne jest zdecydowane zwiększenie środków wydawanych w Polsce na badania i rozwój. Na szczęście w ostatnich kilku latach coś w tej sprawie drgnęło, ale właściwie tylko dzięki funduszom europejskim, i ciągle nie osiągnęliśmy nawet 1% PKB pozostając daleko w tyle za średnią w UE. Ale nawet te środki, które już są, mogłyby być moim zdaniem znacznie lepiej wydawane. Oczywiście mam nadzieję na takie ruchy jak zwiększenie finansowania NCN i innych konkurencyjnych elementów systemu. Żeby zobrazować jakie działania w tym kierunku są możliwe, mogę posłużyć się przykładem chińskiego odpowiednika NCN: budżet National Natural Science Foundation of China, wzrósł w latach 2004-2013 siedmiokrotnie, czyli znacznie bardziej niż PKB Chin w tym czasie.

Ale nie można liczyć moim zdaniem na istotną poprawę, jeżeli w końcu nie dokonamy poważnej zmiany całego systemu. Rektorzy i dziekani, tak jak ma to miejsce gdzie indziej, powinni być poszukiwani i wybierani przez specjalnie powołane w tym celu ciała i później tylko ewentualnie zatwierdzani przez pracowników uniwersytetów i wydziałów w głosowaniu. Trzeba zlikwidować

profesurę belwederską i być może również habilitację, ale, co jeszcze ważniejsze, radykalnie ograniczyć liczbę stanowisk profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego. Musimy zacząć lepiej płacić, ale też i więcej wymagać. Trzeba wreszcie skończyć z takimi polskimi paradoksami jak wieloletowość czy promotorzy prowadzący naraz kilkunastu doktorantów. Czy zakaz zatrudniania absolwentów własnych studiów doktoranckich przez powiedzmy dwa lata naprawdę byłby jakimś zagrożeniem dla naszych wydziałów? Przecież wprowadzenie takiej regulacji globalnie spowodowałoby automatycznie znacznie większy wybór wśród szukających pracy absolwentów studiów doktoranckich. A co najważniejsze to właśnie jest model z powodzeniem funkcjonujący gdzie indziej.

Czy takie zmiany są w obecnej sytuacji możliwe? Jestem w tej sprawie niestety raczej pesymistą, bo nie widzę wystarczającej woli ani w środowisku, ani wśród decydentów, którzy przecież w imieniu całego społeczeństwa sprawują pieczę nad wydawaniem publicznych pieniędzy. Mam wrażenie, że jesteśmy trochę jak ta żaba, która ma bardzo dobre samopoczucie w powoli podgrzewającej się wodzie. Choć z drugiej strony widzę też pewne oznaki, że myślących podobnie jest coraz więcej, np. opublikowany kilka dni temu *Pakt dla nauki* zawiera bardzo podobne propozycje (choć przedstawione być może mniej radykalnie).

Polska nauka ma wspaniałe tradycje i duży potencjał, szczególnie dzięki ciągle relatywnie wysokiemu statusowi społecznemu oraz wielu uzdolnionym młodym ludziom, którzy co roku zasilają polskie uczelnie. By jednak umożliwić niektórym z nich zrobienie naprawdę światowej kariery musimy z jednej strony znacznie więcej niż do tej pory od nich wymagać (a nie traktować jak gwiazdy zanim cokolwiek naprawdę istotnego osiągną), ale z drugiej dać im rzeczywistą szansę na rozwój w polskich jednostkach badawczych. Moim zdaniem jednak nie osiągniemy tego ciągłym zaklinaniem rzeczywistości. Potrzebne są duże zmiany. Bardzo chciałbym, by polska nauka osiągnęła w przyszłości należne jej miejsce. Byśmy dorobili się np. takiego wpływu na światową naukę, jaki miała kiedyś Lwowska Szkoła Matematyczna. Albo takie znaczenie jak polscy kryptolodzy, których praca w tak spektakularny sposób zaważyła na losach Drugiej Wojny Światowej (choć ciągle za mało moim zdaniem o tym uczymy, koncentrując się w zamian na naszej martyrologicznej przeszłości).

Także dzisiaj ten potencjał trzeba wreszcie jakoś wyzwolić!